

JEDNO WESELE I POGRZEB

JAN KLATA REŻYSER, DYREKTOR STAREGO TEATRU

Okazało się, że zarządzanie lękiem
jest najskuteczniejszą polityczną strategią.
Dlatego artystyczną odpowiedzią w naszym teatrze
było hasło „Nie lękajcie się!”.

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI: Pamięta Pan swój pierwszy dzień w Starym Teatrze?

JAN KLATA: Jestem w tym teatrze od kilkunastu lat, więc trudno mi go sobie przypomnieć, starość nie radość... Jesień 1995 r., udaje mi się zostać asystentem wielkiego Jerzego Jarockiego przy spektaklu „Grzebanie”. Szczawiem byłem, 22-letnim.

A pierwszy spektakl?

„Trzy stygmaty Palmera Eldritch’a”, adaptacja powieści Dicka. Jesienią 2005 r. Na pierwszej próbie dwóch z trzech głównych aktorów złożyło role – to były czasy!

Już wtedy myślał Pan o zostaniu dyrektorem?

Gdzieżbyż, wtedy myślałem, jak kontynuować pracę nad spektaklem. Nie, to wydarzyło się naturalnie, po siedmiu latach pracy w Starym, mniej więcej. Z biegiem lat, z biegiem dni. Mikołaj Grabowski kiedyś niezobowiązująco zapytał, czy bym się nie zastanowił. Moja pierwsza myśl: „W życiu!”. Ale później podszedł Krzysztof Globisz i przed spektaklem „Trylogii” na korytarzu przy garderobach powiedział:

„Wiesz, my byśmy naprawdę chcieli, żebyś został naszym dyrektorem”. My, czyli zespół Starego Teatru.

Reżyserowanie spektakli ewoluowało w stronę kierowania teatrem?

Wieloletnia wnikliwa znajomość zespołu, teatru, publiczności, ponoszenie odpowiedzialności za kształt artystyczny spektakli, wspólne wyjazdy festiwalowe i codzienne granie w siedzibie teatru. Zakładając, że zmiany w kulturze odbywają się sensownie, a nie polegają na zaprzepaszczeniu, kompletnym zaniegowaniu żywotnych tradycji polskiego modelu teatru, budowanej przez ostatnie kilkadziesiąt lat, nagłym rozwaleniu wszystkiego przy pomocy kuriozalnych hochsztaplerskich przeszczepów z West Endu.

Czym jest ta tradycja?

Dbaniem o wielopokoleniowy zespół i jego jednoczesny rozwój. Proszę zwrócić uwagę, że zespołowość odróżnia nas od teatrów zachodnioeuropejskich, od sławnego teatru anglosaskiego, na który powołują się moi następcy.

National Theatre w Londynie i Narodowy Stary Teatr w Krakowie łączy tylko nazwa. W tym pierwszym jest zatrudnionych więcej kelnerów niż aktorów, ponieważ aktorów na etacie nie ma w ogóle, a restauracji jest kilka. Tam nie ma czegoś takiego jak stały zespół aktorski. Wie pan, to niesamowite, że tutaj w jednym miejscu są Anna Dymna i Monika Frajczyk, Mieczysław Grąbka i Bartosz Bielenia, oni nawzajem są dla siebie czymś więcej niż sumą talentów. Nie są ludźmi dobieranymi w ramach castingu, jak w filmach czy serialach albo do „projektu”, który po kilku-kilkunastu tygodniach się kończy i nie ma do niego powrotu, wszystko się rozsypuje.

„Rodzeństwo” Krystiana Lupy grane jest w Starym od 1996 r., „Opera mleczana” Mikołaja Grabowskiego miała premierę w 2003 r., a ciągle ją można zobaczyć, „Orestesja” ma ponad dziesięć lat. Nasi aktorzy tworzą ciągłość tego miejsca, w naturalny sposób jedna premiera przechodzi w drugą, w naturalny sposób artyści mogą się rozwijać, pracując z różnorodnymi reżyserami i tekstami. Element wewnętrzny rozwoju teatru jest tak samo ważny jak komunikat kierowany do publiczności.

Nasza tradycja jest związana również z zadawaniem pytań o Polskę. Pytań często niewygodnych dla władzy.

Rozumiem, że według Pana dyrektorem Starego Teatru w Krakowie może zostać wyłącznie osoba, która zna ten zespół?

Dyrektorem powinien zostać ktoś, kto zdążył się tu wykazać, kto zna zespół i publiczność na wylot, kto wie, co można dorzucić do tego, co zdołali tu zbudować wielcy poprzednicy. Tradycję, o której mówimy, potrafiła uszanować komuna, a dopiero rzekomi konserwatyści z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego mieli odwagę chamsko i brutalnie z nią zerwać pod przykrywką kuriozalnego „konkursu”. Chcieli się mnie pozbyć w białych rękawiczkach, a wyszło im jak zwykle.

Marek Mikos nie będzie tej tradycji kontynuował?

Marek Mikos jest na doczepkę do Michała Gielety.

Czy minister kultury powiedział wprost, dlaczego nie przedłuży z Panem kontraktu?

Skądże. O decyzji rozpisania konkursu dowiedziałem się z wywiadu pani Zwinogrodzkiej dla jakiegoś prawicowego periodyku. Ministerstwo Kultury nie kontaktuje się ze Starym Teatrem oprócz wywiadów udzielanych „Do Rzeczy” i „Gazecie Polskiej Codziennie” oraz e-maili opatrzonych załącznikami o chwytliwej, choć nieco monotonnej nazwie Scan from a Xerox Work-Centre. Ministerstwo nie wiedziało i nie chce wiedzieć, co się tutaj dzieje, państwo ministerstwo nie przyjeżdżają na premiery, mimo wysyłanych zaproszeń.

Na początku poprosili o nagrania spektakli, prawda?

Prawda, ale ich interesowało tylko to, co powstało tutaj za rządów Platformy Obywatelskiej. Chcieli zrobić

bilans otwarcia, dokonać „artystycznego audytu” – reszta ich nie obchodziła. Teraz już wiadomo, dlaczego: decyzję o usunięciu Jana Klata podjęto już wtedy. Po co więc przyglądać się spektaklom, doceniać nagrody, które zdobyliśmy, skoro i tak wszystko musiało zostać zmienione.

Pytam o te zarzuty, ponieważ nie doszukałem się w wypowiedziach przedstawicieli Ministerstwa żadnych konkretnych uwag.

Ależ na spotkaniu z przedstawicielami zespołu pan Gliński wypowiedział jasno jedyny zarzut: Klata jest nie do zaakceptowania przez mój obóz polityczny, więc musi odejść i tyle. Natomiast oficjalnym powodem rozpisania konkursu w momencie, kiedy jednocześnie przedłużono podobny kontrakt Janowi Englertowi w Teatrze Narodowym w Warszawie, było to, że ponoć budzą kontrowersje.

Kto tak uważa?

Minister Wanda Zwinogrodzka.

Jakie to kontrowersje?

Jakieś. Generalnie każdy artysta, który robi coś sensownego, musi je budzić. No, może z wyjątkiem Jana Englerta, który nic nie budzi, co nie znaczy, że może spać spokojnie. Ale reszta artystów budzi, rykoszetem.

W Polsce?

Nie, w każdym kraju. Trzeba zdać sobie sprawę, że to, co robią artyści, będzie zawsze budziło kontrowersje, jako efekt uboczny twórczości. Jeszcze się taki nie narodził, co by wszystkim dogodził... za życia. Artyści zaczynają dogadzać narodowi dopiero pośmiertnie, tak że sto lat po zgonie. Dajmy na to – Wyspiański. Teraz wszyscy zgadzają się co do jego zagrobowej wielkości, nawet prezydent Andrzej Duda. Nie trzeba prowadzić długiej historycznej kwerendy, żeby wiedzieć, jakie Wyspiański

→ za życia musiał toczyć boje z tzw. zdrowym rdzeniem społeczeństwa. Dopiero z perspektywy czasu widać, że kontrowersje są smugą kondensacyjną znaczącą niebne loty znaczących artystów.

Pan się za takiego uważa?

Gdzieżbyż, przecież ministerialna komisja, składająca się z obiektywnych, a nie kwestionowanych autorytetów, zweryfikowała mnie jednoznacznie negatywnie. Wybrano lepszych.

Kiedy te kontrowersje zaczęły się pojawiać?

Na pewno przy okazji „Do Damaszkę”. Przyproawdzone grupowo do teatru nieszczęsne osoby z ręcznie zaaranżowały medialną hucpę, wymierzoną w rzekomo propagowane na scenie satanizm i pornografię. Pamiętam, że jednego dnia zastanawialiśmy się z Krzysztofem Globiszem i Dorotą Segdą nad absurdalnością tych zarzutów, a następnego obudziliśmy się w innej rzeczywistości.

Jakiej?

Medialnej bańki, nakręconej przez Ewę Stankiewicz i jakiegoś prawicowego dziennikarza – kilkumiesięcznego dyrektora TVP, oraz przypadkowo akurat na tym spektaklu znajdującą się profesjonalną ekipę filmową. Zobaczyłem, w jaki sposób logika politycznej prowokacji niszczy sztukę. My wobec tego byliśmy bezradni.

Pytanie, co może zrobić w takiej sytuacji teatr?

Są spektakle, które sobie dają radę z takimi rodzajami ingerencjami, ponieważ w ich strukturę wpisana jest interakcja z widzami. Np. spektakl taki jak „Wróg ludu” daje sobie radę bez problemu, bo nie takie rzeczy się tam zdarzają. Dzieje się tak dlatego, że struktura jest otwarta. Natomiast większość przedstawień może być przez potencjalne pokrzykiwanie „Hańba!” zniszczona. Nie dlatego, że są gorsze albo lepsze, tylko dlatego, że są po prostu inne. Dlatego nie każdy rodzaj teatru będzie się w stanie obronić przed nagłymi reakcjami ustawionej widowni. Poza tym mówimy o jakimś wielkim nieporozumieniu, ta bojowa grupa chciała przyjść na „Bitwę warszawską 1920 roku” Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego, ale coś im się najwidoczniej pomyliło. Protestujący, czy raczej zakłócający, nie wiedzieli, kiedy się oburzyć, więc krzyczeli na znak gwizdka, który miał ich lider, kilka dekad temu pracujący w Starym jako fotograf. Żenujący happening. Proszę rzucić

Czy to nie paradoksalne, że panowie Mikos i Gieleta oparli swój program na negacji dotychczasowego dorobku Starego Teatru, a jednocześnie twierdzą, że zaproszą tych samych reżyserów, którzy tutaj pracowali, włącznie ze mną? Schizofrenia czy hucpa? No, nie zaproszą.

okiem na sławetne filmiki w internecie, zakończone pointą „Czy ktoś z Państwa zgubił leki?”. Niestety, gracko dorobiono nam gębę. Relacja z niszowych portali prawicowych trafiła błyskawicznie do mediów społecznościowych, z odpowiednim przesłaniem.

Jaka to gęba? Prowokatorów?

Ludzi, którzy zrobili coś tak fatalnego na narodowej scenie, że „zniesmaczona” publiczność spontanicznie nie wytrzymała i zaprotestowała w imię prawdziwej sztuki. To do nas przyłgnęło i na takiej podstawie Wanda Zwinogrodzka może dzisiaj powiedzieć, że budzę kontrowersję, a TVPiS Kurskiego fabrykować propagandowe materiały. Swoją drogą polecam panu inny, uroczo amatorski filmik poetycko zatytułowany: „Kłata won!”. Akcja jest wartka: przeciwnicy bolszewickiej propagandy w Starym zbierają się pod pomnikiem Adama Mickiewicza, przechodzą do wtóru „Etiudy rewolucyjnej” pod drzwiami teatru, potem czytają na głosy „Salon warszawski” z „Dziadów”, bo przecież jestem z Warszawy i przyjechałem do Krakowa niszczyć polską kulturę.

To znaczy, że konkurs był zemstą za tamten spektakl?

Nie tak prosto. Wtedy został ustawiony przeciwnik, jako ten, któremu spontanicznie krakowska, wyrafinowana publiczność, koneserzy teatru Konrada Swinarskiego, mówią: nie. Następnie przychodzi „dobra zmiana” i wszyscy doskonale wiedzą, że pierwszą decyzją MKiDN, a szczególnie pani Zwinogrodzkiej, która wcześniej pisała w „Gazecie Polskiej” o uciszaniu lewackiego wrzasku, będzie rozprawienie się z Kłatą i Starym Teatrem.

Ale nie można tak po prostu odwołać dyrektora teatru, akcję trzeba przygotować. Dlatego najpierw postanowili mnie ocenić.

Konrad Szczebiot, dyrektor Departamentu Narodowych Instytucji Kultury, poprosił wtedy o płyty DVD?

Tak, na polecenie pani Zwinogrodzkiej wystawiono na pośmiewisko nieszczęsnego pana Szczebiota i zażądano wszystkich DVD z nagraniami spektakli. Między nami mówiąc: chyba pracownicy MKiDN powinni wiedzieć, jeśli są kompetentnymi urzędnikami, co dzieje się w podległej im instytucji, prawda? Mają pod bezpośrednią opieką aż dwa teatry: Narodowy w Warszawie i Narodowy w Krakowie. Stary nie jest teatrem, który się zaczął wczoraj.

Nakręciła się z tego skądinąd bardzo słuszna wrzawa, która kompletnie ośmieszyła Ministerstwo. Bo gramy na tyle często, że można się pofatygować z Krakowskiego Przedmieścia do Krakowa. Ale oni chcieli mieć natychmiast podściółkę: proszę bardzo, obejrzelismy, to się do niczego nie nadaje. I wtedy na białym koniu pojawia się Jerzy Zelnik, który miał mnie z miejsca zastąpić. Generacja Kaczyńskiego oraz Glińskiego, słusznie prawe poglądy na wszystko, piękna, myśląca, popularna twarz... Faraon w Starym. Tysiące lat tradycji patrz na was.

I co się stało, że w gabinecie, w którym teraz siedzimy, nie zasiądzie Zelnik?

Bo okazał się być TW Faraonem. Poza tym troszkę za szybko witał się z gaską, przychodził na nasze spektakle, podczas których obrażał mnie, aktorów i publiczność. Ja się przyzwyczaiłem, aktorzy raczej też, ale...

Ta ostatnia chyba nie znosiła tego najlepiej.

Nie jest do tego przyzwyczajona. Schemat myślenia prawicowego, który został potem ubrany przez krewkich publicystów w jakże subtelną doktrynę, brzmiał: nie wystarczy zmienić dyrektorów teatrów i znaleźć innych reżyserów, trzeba zmienić też i aktorów, i publiczność. Domaga się tego wprost Andrzej Horubała z tygodnika „Do Rzeczy”, znany reżyser (reżyserował Cejrowskiego). Niestety prawica spotkała się z reakcją tejże publiczności, która zaczęła bronić Starego Teatru i jego aktorów, a do tego doszła kompletna kompromitacja premiera Glińskiego przy okazji spektaklu we Wrocławiu. Macherzy: Jarosław Sellin i Wanda Zwinogrodzka zdali sobie sprawę, że straty medialne

mogą być zbyt wielkie, dlatego heroicznie zacisnęli zęby i tak dotrwali do końca mojej kadencji, usiłując prowadzić pokrową rozgrywkę i mydląc oczy. „Cenimy to, co robicie” – mówili mi w tym teatrze zarówno Piotr Gliński, jak i Wanda Zwinogrodzka.

Czyli jednak przyjeżdżali?

Jednokrotnie, żeby się nie przemęczyć, ale wykonać eutanazję w ramach zasłony dymnej. Premier Gliński zaszczylił Stary z okazji premiery spektaklu „Platonów” Czechowa w reżyserii Konstantina Bogomolowa, na którym się setnie wynudził, czego zresztą nie usiłował ukrywać. Powiedział nam wtedy, że przyjechał uspokoić sytuację, zapewniając wieloznacznie, że żadne decyzje nie zostały jeszcze podjęte... Anna Dymna powiedziała wtedy, że od kiedy pracuje w Starym Teatrze (a pracuje dłużej, niż ja żyję), nie pamiętała podobnego chaosu i niepewności ministerialnej. Gliński przyjął to do wiadomości, zapewniając, że „w pełni ufa Wandzie”.

Kilka miesięcy później przyjechała pani Zwinogrodzka, również w ramach tej strategii anestezjologicznej. Zobaczyła, nazwany przez część prawicowej krytyki teatrem zdrady narodowej, spektakl „Bitwa warszawska 1920”, skądinąd znakomity. Najpierw przez pół godziny rozmawiała ze mną w gabinecie, po czym poszła na przedstawienie, po którym jako jedna z pierwszych wstała do owacji. Pomysłeliśmy wtedy z aktorami: może to są normalni ludzie? Może potrafią docenić sztukę? Może są w stanie wybić się ponad koteryjne, partyjne interesiki? W takim przekonaniu dosyć długo trwaliśmy, byliśmy w nim utrzymywani. Dostawaliśmy sygnały, że tak naprawdę w ogóle nie musieliby rozpisywać konkursu, ale muszą uspokoić radykalny elektorat, swoich hunwejbiniów. Zapewniano mnie, że konkurs będzie w pełni merytoryczny. Nie za bardzo w to wierzyłem, ale do konkursu przystąpiłem, żeby nie kapitulować bez walki.

Jest Pan rozgoryczony?

Raczej zasmucony. Jest mi przykro nie ze względu na to, co się ze mną stanie, ja sobie dam radę, choć niewątpliwie kłopotliwe i żenujące jest dowiadywanie się o tak zasadniczej zmianie planów życiowych w absolutnie ostatniej chwili. Ale ogromnie szkoda mi fenomenalnej publiczności Starego Teatru i jego zespołu. Mieli się tutaj pojawić nowi, wspaniali aktorzy, miałem dla tych, którzy już tu są, nowe role u wielkich reżyserów, aktorzy mieli się dy-

namicznie rozwijać. Czy to nie paradoksalne, że panowie Mikos i Gieleta oparli swój program na negacji dotychczasowego dorobku Starego Teatru, a jednocześnie twierdzą, że zaproszą tych samych reżyserów, którzy tutaj pracowali, włącznie ze mną? Schizofrenia czy hucpa? No, nie zaproszą.

Ale to się świetnie składa, ponieważ Michał Gieleta powiedział kiedyś, że polski teatr jest obarczony reżyserską megainterpretacją i często barbarzyńskimi ingerencjami w tekst.

Niech Michał Gieleta zabłyśnie zimnym skalpelem profesjonalisty i olśni całą teatralną Polskę swoimi dziełami w Starym. Trzeba mieć niebywały tupet, żeby w takich słowach mówić o Lupie, Miśkiewiczu, Strzępcie czy Warlikowskim, a także o Grotowskim, Kantorze, Grzegorzewskim...

Chociaż Piotr Gliński uważa, że Michał Gieleta jest najbardziej znanym polskim reżyserem za granicą.

Moje nastoletnie córki powiedziałyby: radzę zmienić leki. Ja tego nie powiem, ponieważ głęboko szanuję majestat władzy wicepremiera polskiego rządu. Ja pokornie radziłbym władcy zmianę doradców. Bo wicepremiera ktoś ośmiesza, wrabia, robi go w konia. Konia Kaliguli.

Na początku swojej kadencji chciał Pan, żeby każdemu sezonowi patronował twórca związany niegdyś ze Starym Teatrem. Miały powstać spektakle odnoszące się do dorobku Wajdy, Swinarskiego czy Jarockiego. Nie udało się?

Jak powiedział pewien noblista, kiedy zmienia się rzeczywistość, ja zmieniam o niej opinię. Zaczęła się zmieniać nie tylko sytuacja w Starym Teatrze – przede wszystkim dlatego, że w końcu udało się stworzyć MICET (Muzeum Interaktywne Centrum Edukacji Teatralnej), które w nowoczesnej formie zajęło się dorobkiem Starego – zaczęła się zmieniać sytuacja na zewnątrz. Niewątpliwie popełniłem kilka błędów na samym początku, gdybym nic nie robił, tobym ich nie popełnił, oczywiście. Poza tym formuła patronacka nie działała zbyt dobrze w wymiarze poszczególnych spektakli. Trudno ją było pogodzić z duchem zespołu, którego stanowisko na temat przeszłości teatru było kilka lat temu bardzo usztywnione. Nie znaczy to, że na początku mojej dyrekcji nie było udanych spektakli, ale zdałem sobie sprawę, że Stary powinien pójść odważnie do

przodu, szczególnie po premierze „Bitwy warszawskiej” Demirskiego i Strzępki. Bo przecież i tak stoimy w tym teatrze na barkach gigantów, nie musimy więc już tego mocno zaznaczać. No i przydarzyły się wszystkie prawicowe awantury, o których już mówiliśmy. Zacytuję Mike’a Tysona pytanego o strategię w walce bokserkiej: „Każdy ma plan, dopóki nie dostanie pięścią w twarz”.

To w jaki sposób konstruował Pan kolejne sezony?

Zaczęliśmy je opatrywać hasłami. Biblijnymi oczywiście. Dobieranymi na podstawie oceny rozwoju sytuacji społecznej.

Gdzie?

W Polsce, w Europie, na świecie. Pytaliśmy: jaki jest główny problem? Widać było, że jesienią 2015 r. dochodziły do głosu populizmy, dali o sobie znać terroryści, a do Europy zaczęła napływać migracyjna fala, wybory wygrał PiS. Pojawiła się atmosfera szerzenia lęków i konstruowania grupy, czy też budowania poparcia dla przywódców wokół strachu. Okazało się, że zarządzanie lękiem jest najskuteczniejszą polityczną strategią, że przynosi zwycięstwo w wyborach. Pewien rodzaj skierowania ku przeszłości został zastąpiony w Starym Teatrze spekulowaniem na temat przyszłości. Artystyczną odpowiedzią na niepewniejącą rzeczywistość w Starym w sezonie 2015/2016 było hasło „Nie lękajcie się!”. Poprzedni sezon otworzył więc „Wróg ludu”.

„To jeszcze nie koniec”, mówicie w tym sezonie.

Po próbie przepracowania lęków w sezonie „Nie lękajcie się!” przy pomocy chociażby wstrząsającej „Nie-Boskiej Komedii” oraz „Podopiecznych”, którzy w fascynujący artystycznie, kompletnie niepublicystyczny sposób zajmowali się kryzysem uchodźczym, chcieliśmy spróbować popatrzeć optymistycznie w przyszłość. Sztandarowym spektaklem obecnego sezonu jest brawurowy „Triumf woli” Strzępki i Demirskiego, gdzie w Starym podjęliśmy się czegoś niezwykle trudnego, mianowicie głoszenia ze sceny optymistycznego przekazu, narażając się tym samym na zarzut naiwności...

Szczególnie w czasach, które do optymizmu nie zachęcają.

Eeeee tam. Zachęcają! Przecież już niedługo Stary Teatr będzie „polifoniczny”. To dobra zmiana.

©

Rozmawiał ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI